

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

łomaczył z angielskiego B. Felician

(Dokończenie.)

13

— Owa Nelly Brown jest teraz w więzieniu, gotowa opowiedzieć nam rzeczy bardzo ciekawe

— Ależ to przerażające! — zawołał dr Hale.

— Zbrodnie tej osoby są istotnie przerażające, ale sposób, w jaki miała je ukrywać i popełniać, mistrzostwo w ndawaniu osoby uczciwej i skromnej, są może jeszcze potworniejsze, niż sama zbrodnia. Moi panowie, nie bierzcie tego za jakiś zwrot poetycki, gdy powiem, że najzręczniejszy z szatanów mógłby jej zazdrościć obłądy.

Nastąpiła chwila milczenia; Durand zwiesił głowę, a dr. Hale pocierał czoło. Wreszcie adwokat, zwracając się do Duranda, zapytał tonem przyjacielskim:

— Będzie to dla pana bardzo dotkliwie, gdy adoptowana córka zostanie niewieziona.

— Uwieszenie samo przykrości pannę Durandowi nie sprawi — rzekł Stuart. — Przykrą byłaby tylko rozprawa sądowa i zasądzenie, ale zdaje mi się, że bez tego obejść się może, jeżeli tylko pan na to zezwoli, panie doktorze, jako zastępca matki zamordowanego.

— Jakto? Więc zbrodnia miałaby ująć bezkarnie? — zawołał dr. Hale ze zdziwieniem. — Nie rozumiem pana.

— Zaraz wytłumaczę. Lanra Durand popełniła jeszcze większą zbrodnię w Anglii i za nią przed sądami angielskimi postawiona być może. Czyż nie lepiej, niewieziwszy ją, oddać sądowi angielskiemu, niż stawiać ją przed sądem naszym i oskarżyć o kradzież i morderstwo? Tok rozprawy sądowej musiałby dobiec na jaw co nieco z różnych płochych wybryków zamordowanego, a to dla nieszczęśliwej matki byłoby bardzo bolesne. Również i dla państwa Durandów nie bardzo to pożądane, aby ich nazwisko sprzęgać z rozprawą sądową. Lanrę Durand mogłem być już dawno uwiezić, ale nie chciałem tego czynić bez porozumienia się z panami.

XXVII.

Wyznanie.

— Jakoś dwa lata temu — opowiadała Nelly Brown — płynęłam z Liverpoolu do New Yorku. Tym samym parowcem płynęli także państwo Durandowie z córką. Nikt z nich nie zwracał na mnie uwagi, bo ja, jako osoba biedna, byłam w drugiej klasie.

Jakże zazdrościłam córce bogatych rodziców, co jak księżniczka nżywała dostatków, a wyniosłe spoglądała na otoczenie, które jej się wydawało niższem od stanowiska rodziców. Wówczas nie przeżywałam, że wkrótce spotkamy się i że połączą nas dziwne stosunki.

Przybywszy do New Yorku, znalazłam skromne zajęcie. Pewnego dnia, wracając do domu, spotkałam na ulicy pannę Durand w towarzystwie młodego człowieka. Wiedzioną po części ciekawością, po części dziwną, jakąś niechęcią, kn tej dumnej osobie, postanowiłam ją śledzić. Jakoż przekonałam się, że panna Durand ndała się z młodym człowiekiem do pewnego domu, skąd wyszła z nim po dwóch godzinach. Powzięłam myśl, żeby z tego wysnuć dla siebie jakieś korzyści. Dowiedziawszy się o mieszkaniu państwa Durandów, poszłam do panny Lanry, opowiedziałam jej wręcz, że ją śledziłam i wysledziłam jej schadzke z młodym człowiekiem. Aby okupić moje milczone ofiarowała mi bardzo cenny pierścionek z brylantami. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że państwo Durandowie tylko chwilowo przebywają w New Yorku a mieszkają stale w Chicago. Zdarzyło się, że poznałam Fergusa, pokochałam go i z miłości do niego ndałam się za nim także do Chicago. Pewnego razu zobaczyłam w teatrze pannę Lanrę Durand z tym samym młodym człowiekiem, z którym miała schadzke w New Yorku. Był to Frank Arteveldt. Nakłoniłam Fergusa, żeby się z Arteveldtem poznał i zaprzyjaźnił, przez co mogłabym dowiadywać się różnych szczegółów z życia tej dumnej córki milionerów, aby ją kiedyś upokorzyć. Po niejakiem czasie miłość Fergusu ku mnie zaczęła nieco stygnąć, co mnie i bolało i niepokoiło. Być może, że moje skromne stanowisko znieważało go do mnie, więc zapragnęłam dostać się w sferę lepszego towarzystwa. Fergus pragnął ta-

kże zawiązać stosunki towarzyskie w wybitniejszych domach miasta

Aby i sobie i jemu drogę do tego utorować, ndałam się do Lanry z żądaniem, aby mnie w charakterze swej towarzyski w dom swych rodziców zaprosiła. Z początku opierała się temu zawzięcie, ale wreszcie ustąpiła z obawy, abym nie zdradziła jej zbyt swobodnych stosunków z Frankiem Arteveldtem.

Lękała się mnie i nienawidziła; byłam dla niej ciągłym wyrzutem sumienia i bezustanną groźbą. Ta nienawiść Lanry była mi zupełnie obojętna; Lanra była dla mnie niewyczerpaną skarbniczką dochodów i korzyści. Fergus zaprzyjaźnił się coraz ściślej z Arteveldtem, żyli ze sobą bardzo poufale, więc łatwo było spozstrzedz Fergusowi, że Arteveldt odwracać się zaczyna od Lanry, że dąży do zerwania dotychczasowych stosunków. Chciał z tego skorzystać i zająć w sercu Lanry miejsce swego przyjaciela, aby przez bogate ożenienie wspiąć się na wyżyny towarzyskie. To obudziło moją zazdrość, mściłam się na Lanrze, dokuczałam jej zawzięcie, aż ona, znieść tego nie mogąc, postanowiła się mnie pozbyć.

W pomoc przybył jej Fergus, zniewoliwszy mnie do tego, abym mu pomagała we fałszerstwie monet. Zgodziłam się opuszczyć dom państwa Durandów dobrowolnie pod warunkiem, że mi Laura zapłaci 10.000 dolarów.

Nie wyobrażałam sobie, aby tak znaczną kwotą dysponować mogła, jednak Laura wypłaciła mi te pieniądze i to zaraz nazajutrz po owym dniu, w którym pana Duranda okradziono. Jakoś około tego czasu zaczęły się rozchodzić wieści, że Arteveldt zamierza się ożenić z panną Ardyn. Oczywiście, że Laura o tem się dowiedziała i teraz zaczęły się burzliwe sceny. Laura prośbą i groźbą starała się odwieść swego kochanka od ożenienia z inną kobietą, ale Arteveldt był nięgięty. Odwiedziła też pannę Ardyn, łudząc się nadzieją, że ją nakłoni do zerwania z Arteveldtem.

Gdy i tu doznała zawodu, zmieniła się w dziwny sposób. Stała się tak lodowato spokojną, że musiałam w tem upatrywać jakiś nienormalny stan duszy.

Fergus szukał odpowiedniego mieszkania na założenie schroniska dla fałszerzy monet. Raz nadmieniłam coś ogólnikowo, że Fergus szuka mieszkania, bo ma się ze mną ożenić. Oczywiście nie mówiłam o właściwym celu. Wtedy bardzo gorąco namawiała mnie Laura, abyśmy z Fergusiem wynajęli willę przytykającą do tej, którą Arteveldt wynajął dla siebie. Fergusowi ta myśl się spodobała i rzeczywiście mieszkanie to wynajął. Tymczasem klucze od najętego mieszkania oddał mi Fergus do przechowania. Jakoś tak się złożyło, że zaraz po widzeniu się z Fergusiem, gdy mi klucze wręczył, poszłam wprost do Lanry. W toku rozmowy opowiedziałam, że mieszkanie wynajęte i pokazałam klucze.

Wróciwszy do domu, spostrzegłam, że kluczy nie mam. Byłam pewną, że ich nie zgubiłam, więc niezawodnie n Lanry zostawić je musiałam. W godzinę potem byłam ponownie n Lanry, żeby zabrać klucze, ale ich znaleźć nie było można i dopiero na drugi dzień odesłała mi je Lanra z doniesieniem, że je pod kanapą przypadkowo znalazła. Wydało mi się to bardzo podejrzanę i nasnęło mi się na myśl, że owe klucze z pewnością mi zabrała po to, aby według nich dać zrobić takie same. W dwa dni po tem znowu tak się wydarzyło, że w mej obecności przyniesiono jej pakiet, z którego wyjęła ciemny płaszcz z bardzo skromnego materiału. Na co jej taki płaszcz był potrzebny, tego mi nie mówiła, ale wnet sama dowiedziałam się o tem. Wiadomo, że Lanra nie była na weselu Arteveldta, wymówiwszy się chorobą. Co się stało owej nieszczęsnej weselnej nocy, tego nie potrzebuję powtarzać, panowie wiecie to lepiej ode mnie.

Natychmiast powzięłam podejrzenie, że Laura zabiła Arteveldta. Poszłam do niej, aby jej opowiedzieć o tem, co się stało i ku największemu zdumieniu spostrzegłam, że wiadomość o śmierci Arteveldta wprawiła ją w rozpacz prawdziwą. Nie mogłam tego zrozumieć. Gdyśmy się w ośm dni potem w wynajętej willi urządzali, rozpatrywałam się bardzo dokładnie po całym mieszkaniu, by uzupełnić uporządkowanie i weszłam na ów szklany ganek, który łączy obie wille.

Zdziwiło mnie bardzo, skąd na podłodze były ślady stearyny, pozostałe z kapiącej świecy, a jeszcze bardziej zastanowił mnie oddarty kawałek czarnej materyi, tkwiący na gwoździu sterzącym w progu, a jeszcze dziwniejsze, że drzwi z ganku do mieszkania Arteveldta wiodące, nie były na

klucz zamknięte. Przypatrzywszy się dokładnie oddartemu kawałkowi tkaniny, poznałam, że pochodzi z owego płaszcza, który Lanrze w mej obecności przyniesiono.

* * *

Wszyscy czterej ndali się z więzienia do kancelaryi dra Hale.

— Nadmienił mi pan, panie Stuart — rzekł dr. Hale, że Lanra Durand popełniła w Anglii jakąś zbrodnię i że może być władzom angielskim oddana. Czy mogę pana zapytać, jaka to zbrodnia?

— Od trzech lat szuka mój przyjaciel Jocelyn Elizy Schwarz, która w Londynie zamordowała swojego męża i jego siostrę. Tą Elizą Schwarz jest panna Durand.

— Wydaje się to wprost bajeczne — nadmienił dr. Hale. — Jakaż kara czeka ją za to w Anglii?

— Kara śmierci — rzekł Ferrars.

— A więc imieniem nieszczęśliwej matki zamordowanego wyrzekam się sądowego ścigania morderczyni Arteveldta.

— A więc sprawa załatwiona — rzekł Stuart. — Teraz nie tracmy czasu.

* * *

Laura zamyśliła się bardzo. Wspaniały buduar wydał jej się teraz nie tak pięknym, jak zawsze; nawet z siebie samej nie była zadowolona, ona, która z takim ndodobaniem zwykła się podziwiać w zwierciadłach. Rozdrażnienie coraz silniej wdzierało jej się w nerwy i wstrząsało nimi.

Była tak bliska celu; uśmiechały się do niej miliony, a tu nagle zjawia się jakiś kuzynek, na którego ma spaść całe dziedzictwo Durandów, a ona miałaby tylko poprzestać na jakimś tam małym kapitaliku? Nie, to niemożliwe. Wszakże tego kuzynka możnaby usunąć. Któżby się tego domyślił?...

Przecież by jej o to nie posądzono. Udało się z mężem i jego siostrą, ndało się zataić i to, co się stało niechęć z Arteveldtem, czemużby i z tem się nie powiodło? Kuzyneczek nie zamyka się nigdy w swoim pokoju, więc mógł się wślizgnąć zbrodniarz i bez przeszkody wejść do otwartego pokoju. Gdyby tak przyłożyć chustkę z chloroformem do twarzy?...

Zapukano do drzwi; prawie równocześnie je otwarto. Na progu ukazał się Durand, a za nim dr. Hale, Stuart, Jocelyn i Ferrars.

Na ich widok Laura zerwała się przerażona, a w tej chwili przystąpił do niej Jocelyn i położywszy jej rękę na ramieniu, rzekł poważnie, doniosło:

— Elizo Schwartz jesteś moim więźniem w imieniu prawa.

Trnpiącość okryła twarz Lanry, zadrżała, oczyma błędnie spojrziała dokoła.

Na chwilę zatrzymał się jej wzrok na Durandzie, jakby w nim szukała ocalenia. Ale on spojrział na nią surowo i rzekł z lodowatym spokojem:

— Nie spodziewaj się odemnie niczego. Chciałaś otruć tę złą kobietę, która cię za córkę przyjęła. Niechaj ci prawo wymierzy sprawiedliwość!

Laura załamała ręce, opuściła głowę i stała milcząca, bezradna.

Jocelyn przerwał milczenie:

— Elizo Schwartz! Zamordowałaś swojego męża i jego siostrę i za to będziesz sądzona w Anglii. Obciążają cię inne zbrodnie. Okradłaś pana Duranda, który cię adoptował, a uczyniłaś to dla tego, aby przekupić Nelly Brown; usiłowałaś pozabawić życia żonę pana Duranda, a wreszcie zamordowałaś Franka Arteveldta.

— Boże! Boże! Ja zamordowałam Arteveldta?! — zawołała Laura z przerażeniem i boleścią straszną.

— Temu zaprzeczyć nie zdołasz. Dowodzą twej zbrodni listy i owe przedmioty, które ukrywałaś pani w torebce podróżnej, a potem chciałaś je z torebką wrzucić do wody. Rzuciłaś torebkę, ale bez kosztowności, skradzionych w Londynie, bez płaszcza, w którym mordu się dopuściłaś, bez sztyletu i bez kluczy, bo to wszystko wyjął z torby pan Stuart, a pani tego nie przeczuwałaś.

— Tych zbrodni wyprzeć się pani nie możesz — rzekł Stuart — ale wyznaj wszystko szczerze, abysmy mogli jakie takie znaleźć okoliczności łagodzące.

Laura spojrziała na Stuarda dziwnym wzrokiem. Zdawało się, że patrzy na niego z kipiącą nienawiścią a zarazem z podziwem.